

# Przyjaźń

Florian Śmieja



Wilno 1936, pod Ostra Brama. Florian Śmieja w pumpach w pierwszym rzędzie. Przewodniczka Zofia Bohdanowiczowa. Z tyłu samotny Piotr Guzy. fot. arch. F. Śmieji.

Z powieściopisarzem Piotrem Guzym spotkałem się we wrześniu 2005 roku w Toronto. Przed wojną chodziliśmy wprawdzie do tego samego gimnazjum w Tarnowskich Górach, a nawet obaj widzimy na fotografii pod Ostrą Bramą w Wilnie zrobionej w czasie wycieczki w 1936 roku, ale wtedy nie znaliśmy się. Różnica trzech lat była nieprzekraczalną barierą.

Kilka lat temu dowiedziałem się, że Guzy mieszka samotnie na emeryturze w Hiszpanii. Nawiązałem z nim kontakt i od tego czasu korespondowaliśmy z esobą.

Na emigracji wydał głośną, nagrodzoną przez "Kulturę" powieść "Krótki żywot bohatera pozytywnego" demaskujący działalność służb bezpieczeństwa w PR-u. Potem pracował nad dużą sagą rodową umiejscowioną na Śląsku.

Guzy był unikatem. W Polsce pod kuratelą Kazimierza Koźniewskiego napisał propagandową książkę, poczem uszedł z rodziną do Anglii. Odtąd żałował i nie mógł sobie darować, że napisał paskudną książkę. Pokażcie mi drugiego takiego naszego literata, który się wstydzi swego dorobku z czasów dyktatu komunistów w literaturze? Chyba nie ma. Spokojnie przeszli na inną pozycję, często nawet nie opuścili intratnego świecznika. Życiowi ludzie.

\*\*\*



Jan Nowak-Jeziorański w Radio Wolna Europa, fot. Wikimedia/domena publiczna  
Różne miałem sprawy z Janem Nowakiem Jeziorańskim. Chciał mnie zwerbować do radia, kiedy go odwiedziłem w Monachium, ale przyznał, że powinienem pilnować kariery akademickiej, jeżeli stanie się aktualna.

Kiedy można było swobodnie jeździć do wolnej Polski oświadczył, że nie będzie jeździł na różne tam Hawaje i Bahamy, ale do Polski. I w tym się z nim zgodziłem. Spotkałem go potem we Wrocławiu.



Latał do kraju, bo wiedział, jako doświadczony emigrant, że tylko tam znajdzie przyjaźnie najbardziej osobiste wychodzące poza zdawkowe kontakty i rozmowy, przyjaźnie głębsze, oparte na wspólnocie zainteresowań, o które gdzie indziej niełatwo, bo są rzadkie nawet w sprzyjających warunkach i materialnym otoczeniu. Posiadanie bratniej duszy to wygrana na loterii, to kosztowanie pełni życia, to wychodzenie poza ciasne, samolubne ramki, aby żyć żarliwiej. Największym brakiem na emigracji jest brak bliskich ludzi, którzy są bardziej potrzebni w życiu niż dobrobyt i kariera, bo są rękojmną zdrowia. Ich strata jest nieszczęściem. Kto stracił druha i nieodstępного towarzysza stał się kaleką.

---

## Tymon Terlecki



Tymon Terlecki, 1983 r., w pracowni na Hazlewellu, fot. arch. Niny Taylor-

Terleckiej.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Z Tymonem Terleckim, wybitnym krytykiem teatralnym, dzieliłem mało zrozumiałą dla innych pasję szanowania i oszczędzania papieru. Tworząc swoje utwory, rzadko kiedy używałem czystego arkusza papieru, jeżeli można było pisać na odwrocie już zapisanego. Nie pamiętam też bym napisał jakikolwiek tekst na czystej kartce, wszystkie powstawały na starych kopertach lub niepotrzebnych formularzach i makulaturze, a dopiero gotowe i skończone doczekały się translacji na czysty papier.

Tymon Terlecki posuwał oszczędzanie także daleko. Pisząc listy ścibił, by jak najwięcej zmieściło się na niewielkiej kartce. Kopert nowych w ogóle chyba nie używał, naklejając na starych nalepkę z nowym adresem. Złośliwi mówili, że robił tak ze skąpstwa, ale ja widzę w takim oszczędzaniu piękny gest ochrony drzew, dopiero dziś ceniony należycie, wczesny zmysł ekologiczny i obronę środowiska. Dzięki temu Tymon Terlecki w naszej pamięci posiadał okazały rezerwat wdzięcznych drzew, które się uratowały.

Nie marnotrawiąc papieru przecież zostawił drugiej żonie ogromną spuściznę literacką, której okazała się wiernym kustoszem, wydając ją z wielkim pietyzmem. Nina Taylor przyjęła rolę idealnego ambasadora męża. Opanowała nie tylko w sposób mistrzowski język polski, ale przejąwszy niektóre zamiłowania Tymona, stała się zdumiewającą specjalistką od niektórych zagadnień kresowej literatury polskiej. Jej dom w Oksfordzie jest nie tylko wielkim archiwum wybitnego teatrologa, ale żywym nadal źródłem ważnych publikacji.

---

**O Tymonie Terleckim:**

<http://www.cultureave.com/wytrwac-za-siebie-i-za-narod/>

---

# Ujmująca postać polskiego Londynu. Tola Korian (1911-1983).



Wieczór poezji Stanisława Balińskiego, od lewej: Wojciech Piekarski, Tola Korian, Stanisław Baliński, Hanna Rawicz, Stefan Gołębiowski, fot. Teatr Nowy, Londyn.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Ci wszyscy, którzy w czasie wojny i po wojnie byli w Anglii pamiętają, że jedną z najbardziej ujmujących postaci barwnego korowodu osobowości polskiego Londynu była Tola Korian (1911-1983), wspaniała artystka dramatyczna i uroczy człowiek.

W mojej pamięci pozostanie jako wybitna recytatorka poezji polskiej i subtelna odtwórczyni piosenek i liryków na scenie londyńskiego "Ogniska", ale także nieprzeciętna pani domu organizująca wystawną kolację w wynajmowanym mieszkaniu w Chicago, czy z dumą pokazująca odnowiony po powrocie do Londynu dom na Putney.



Zapamiętam też jej troskliwą opiekę nad Tymonem Terleckim. Pewnego rana zgłosiłem się z magnetofonem do mieszkania Jadwigi i Adama Tomaszewskich w Toronto, u których się zatrzymali Tola i Tymon Terleccy podczas tury po Kanadzie i USA. Umówiłem się na rozmowę z Tymonem. Wspominał poetów przedwojennych, z którymi się stykał. Gdy rozmowa, a raczej uskrzydłony monolog Tymona, który utrafił w natchniony ton reminiscencji, przeciągała się, weszła w pewnym momencie cicho, ale zdecydowanie Tola, aby nam sesję przerwać. Obawiała się, że mąż się przemęczy. Któż mógł wtenczas przypuszczać, że to właśnie ona, doskonała opiekunka, była bardziej zagrożona niż przedmiot jej troski?



Tola Korian, fot. Teatr Nowy, Londyn.

Kto Toli nie znał, znajdzie wiele wspomnień o niej w książce wydanej w Londynie w

1984 roku. Fotografie i serdecznie pisane wspomnienia przybliżają człowieka i utrwalają jej dokonania. Brakuje wśród nich wyczerpującego życiorysu (ja taki przypadkiem posiadam, i to w opracowaniu samej Toli z czasów, gdy ubiegała się o pozycję na naszym uniwersytecie Western Ontario). Z materiałów zawartych w tomie szczególnie polecam szkic Jadwigi Jurkszus Tomaszewskiej, napisany z polotem i sumiennością. Jest on nie tylko najobszerniejszy w tomie, ale i najambitniejszy i pisany *con amore*. Jego autorka konkluduje:

*Poznanianka z urodzenia, poliglotka, kosmopolitka, znająca na wylot Europę i niezgorzej drugą półkulę, była przede wszystkim Polką, bez celebracji, bez słów. Na codzien, a żarliwie.*



Tola Korian na scenie, fot. StareMelodie.pl

**Tola Korian na zdjęciach:**

<http://www.cultureave.com/zycie-piosenka-uslane/>

---

## Literackie odwiedziny



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan, Argentyna, 1974 r., fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

### **Florian Śmieja**

Nasza wyprawa samochodowa do Kalifornii obciążała licznik 16 tysiącami kilometrów, za to liznęliśmy Meksyk i miasto Tihuaná, a także tuzin sławnych parków z Yellowstone na czele.

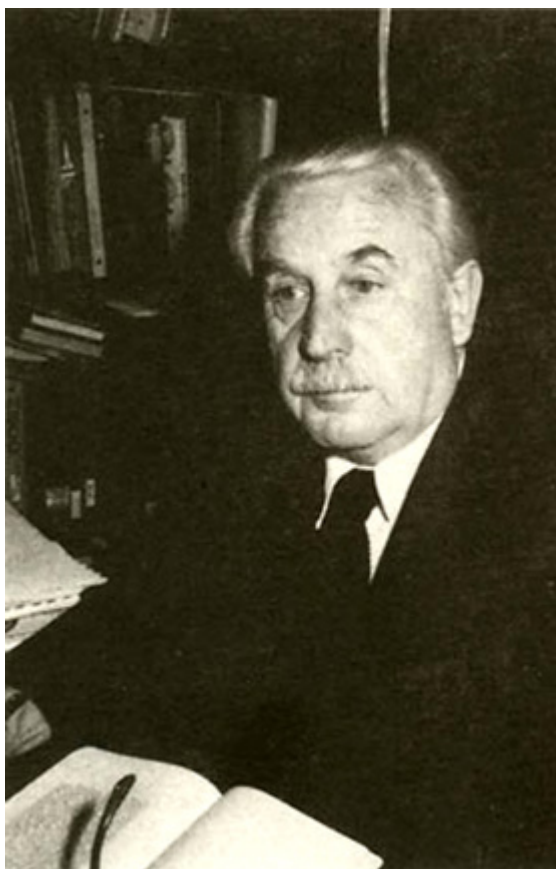
Pod San Francisco udało nam się odwiedzić dwu poetów: **Jana Kowalika** w San José oraz Jana Leszczę w Palo Alto. Znakomity bibliograf polskiej prasy emigracyjnej Jan



Kowalik (1910-2001) rodem ze śląskiego Skoczowa, tęsknił za rodzinnymi stronami i w swoich wierszach je sobie przybliżał. Wspomagała go wyobraźnia, bo kiedy patrzył na sąsiedni łańcuch gór Santa Cruz to widział łagodne góry Beskidu. Wspominał rodzime grzyby, brakowało mu jednak śpiewu skowronka, bo te ptaszki na tym kontynencie nie śpiewają. Dlatego jednym z jego pragnień została skarga

*Żeby tak jeszcze*

*Kilka taktów skowronka*



Jan Kowalik, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z cieszyniakim **Janem Leszczą** (1918-1992), który przeżył obóz koncentracyjny w Dachau, wybraliśmy się do niedalekiej biblioteki w Uniwersytecie Stanford obejrzeć kolekcję dokumentów złożonych przez Polaków po wyjściu z sowieckiego zesłania. Tamże pokazywano nam fotografię Lenina, którą posługiwała się policja szwajcarska, kiedy go inwigilowała.

Jednak najcieplej pamiętam kolibry na patio domu Leszczów uwijające się koło poidła z czerwonym nektarem.

\*

Choć zaglądałem do Meksyku póki żył **Jan Zych**, poleciałem do Wenezueli, by odwiedzić **Józefa Jennego** i wybrałem się do Kolumbii, by szukać śladów Gabriela Garcii Marqueza, nie zdążyłem zobaczyć Argentyny, by poznać **Janinę Surynową-Wyczółkowską** (1897-1985), aczkolwiek byłem pod wielkim urokiem jej późniejszych książek. Autorka osiadła pod Kordyleriami zbyt daleko od emigracyjnych ośrodków i choć cieszyła się mirom czytelników i poważaniem krytyków, nie zdołała przebić się na pierwsze strony, a w wolnej Polsce dziwnie nie znalazła zainteresowania, a tym bardziej wsparcia, a jej emigracyjne powieści nie doczekały się wznowienia w Polsce, gdzie by fascynowały czytelnika. Pisarka, warszawianka urzeczona swoim miastem i jego aurą, ostatnie dekady życia spędziła w obcej Argentynie. W wybornej trylogii ukazała zmaganie się polskiego dziedzictwa z argentyńskim otoczeniem, w opowieści o Grindze, Teresie, niespokojnej dziewczynie i jej gorzkim emigracyjnym losie. Wyszła ona za mąż za argentyńskiego Metysa.

*Nasze dzieci odziedziczyły po ojcu ambicje narodowe. Szanuję to, ale walczę zjadle o moją ojczyznę-polszczyznę. Wprawdzie nie zasłużyłam sobie na to, aby się czuły dziećmi Polki, bo uciekłam z Kraju nie dla żadnych ideologii, kontrkomunizmów, czy w porywie wolności - tylko z osobistych względów.*

Zapowiedziane drugie wydanie powieści na wychodźstwie nie doczekało się realizacji.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan 1974 r., fot. Archiwum Emigracjiw Toruniu.

---

*Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” - dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna Sokołowska-Gwizdka.*

**O Janie Kowaliku:**



# Wybory Miss Polonia w powojennym Londynie



Irena Anders, z domu Jarosewycz, pseudonim artystyczny Renata Bogdańska, 1960 r., fot. z archiwum Bohdana Nahajło, źródło: day.kyiv.ua

**Florian Śmieja**

Zanim zacząłem swój sześcioletni staż jako wykładowca literatury hiszpańskiej na

uniwersytecie angielskim w Nottingham (1963-1969), odwiedzając to miasto w środkowej Anglii zostałem niespodziewanie dokooptowany do grona jury, które miało wybrać Miss Polonię na imprezie organizowanej przez szereg lat przez "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w Londynie. Zapamiętałem, że oprócz mnie wybierała jeszcze jakaś utytułowana angielska Lady, pani Generałowa Andersowa, czyli Renata Bogdańska oraz tajemniczy Slavomir Rawicz. Nie spisaliśmy się kolektywnie, bo wybraliśmy kandydatkę, która się okazała przyjezdną z Warszawy Mrs.

Choć znamy dziś daty Rawicza (1915-2004), to wiele wątpliwości związanych z jego życiorysem i słynną książką pozostało. Poznany w Anglii dziennikarz Ronald Downing wysłuchawszy opowieści o sensacyjnych losach Rawicza, napisał książkę "The Long Walk" czyli "Długi marsz", która wyszła w 1956 roku stając się rewelacją. Przełożono ją na 25 języków.

Rawicz twierdził, że urodził się pod Pińskiem jako syn polskiego właściciela majątku i matki, Rosjanki. W 1939 roku w randze oficera kawalerii polskiej aresztowali go Sowieci i skazali na 25 lat obozu w Irkucku. Stamtąd z sześciorgiem towarzyszy uciekł on do Indii i po dziewięciu miesiącach, wyczerpana, pozostała przy życiu czwórka zbiegów dotarła do Nepalu. Potem Rawicz dostał się do Anglii, trzech pozostałych przepadło bez śladu.

Przyjęta z entuzjazmem książka wywołała wiele kontrowersji, z czasem zakwestionowano jej różne szczegóły, a potem autentyczność, w końcu Brytyjczycy przenieśli ją z działu autobiografii do działu fikcji.

Generałową Andersową miałem spotkać kilkadziesiąt lat później w Opolu. Przybyła wraz z ostatnim prezydentem rządu na emigracji, Ryszardem Kaczorowskim. Na uniwersytet przyszły tłumy głównie, by zobaczyć legendarną Renatę Bogdańską, która ciekawskich nie zawiodła, bo jej aparycja zrobiła wielkie wrażenie.

---

*Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” - dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red.*

*Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna Sokołowska-Gwizdka.*

---

## **Ermitaż nad Tagiem. Maria Danilewicz-Zielińska.**



Maria Danilewicz-Zielińska, po osiedleniu się w Portugalii, w pobliżu Lizbony, nazywana „Latarnikiem w Feijó”, fot. Ludomir Danilewicz, ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

**Florian Śmieja**



W emigracyjnym polskim Londynie lat wojennych i powojennych roilo się od instytucji i ludzi. Byli też ludzie-instytucje. Jedną z niekwestionowanych osób tego rodzaju była Maria Danilewiczowa, energiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w dzielnicy Kensington, wysoka, przystojna blondyna, cieszyła się respektem i sympatią wielu czytelników. Pewnie do wszystkich klientów i petentów biblioteki podchodziła życzliwie, ale młodych, a szczególnie adeptów pióra, hołubiła najcieplej. Podsuwała im lekturę, chętnie radziła, czytała ich pierwsze utwory, służyła opinią, promowała ich na łamach prasy, wymieniała w swoich wystąpieniach publicznych.

Kiedy w latach pięćdziesiątych pojawiły się w Londynie polskie pisma młodzieży akademickiej, znalazły w pani Marii gorliwą orędowniczkę i sympatyczkę, a nawet chętną współpracowniczkę, autorkę wczesnego szkicu o literaturze emigracyjnej.

Poznaliśmy ją ponadto i ceniliśmy jako prelegentkę i autorkę licznych artykułów w czasopismach literackich, wreszcie jako prozaika, twórcę opowiadań i powieści, także jako krytyka piszącego wnikliwie szkice.

Urodzona 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim Maria Ludwika Markowska studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim uzyskując magisterium w 1929 roku. O krajobrazie dzieciństwa wspomniała później w jednym z listów. Pocieszała mnie w nim po jakiejś literackiej utarczce.

*Łobodowski przejął się Pan więcej ode mnie. Ja nie traktuję go poważnie i nawet nie trudzę się, by mu odpowiadać, choć popełnił kilka zasadniczych pomyłek. Przypisał mnie np. do Włocławka, a ja - choć urodzona na Kujawach - byłam w tym zacnym grodzie nadwiślańskim niespełna trzy lata w końcowych klasach gimanzjum, a wakacje spędzałam na obozach harcerskich pod nosem Łobodowskiego, bo w Zwierzyńcu Ordynackim w pobliżu Zamościa. Na dodatek Ojciec mój wychowywał się w Lublinie i tam kończył gimanzjum. Wyrosłam więc nie tylko w zasięgu miazmatów kujawskich. To raczej... Prymas Wyszyński, Pietrkiewicz, Kuncewiczowa, Nowakowski (Zygmunt, przyp. FS), a także Tadeusz Nowakowski związani byli z Włocławkiem. Katedra, której się oberwało, że jest neogotycka, jest autentycznym zabytkiem z XIV w. itd. (To odżegnywanie się od zażyłości z Włocławkiem nie przeszkodziło w tym, że została honorowym obywatelem miasta Włocławka).*

Do wybuchu wojny w 1939 roku pracowała w Bibliotece Narodowej. Opuściwszy Polskę przez trzy lata przebywała we Francji, a następnie przez Lizbonę dotarła do Anglii. Wróciła tam do bibliotekarstwa i do roku 1972 prowadziła Bibliotekę Polską. Współpracowała z pismami polskimi i brytyjskimi drukując głównie prace bibliotekoznawcze i bibliograficzne, także katalogi wystaw, przyczynki naukowe i teksty literackie.

W roku 1953 tomem opowiadań „Blisko i daleko” zadebiutowała jako prozaik. Trzy lata później również w wydawnictwie Veritas ukazała się jej powieść „Dom”. W roku 1960 wyszedł tom szkiców literackich „Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy”.

Jej długoletnie zainteresowanie piśmiennictwem emigracyjnym zaowocowało, po szeregu próbnych prac, książką „Szkice o literaturze emigracyjnej” w roku 1978, wydane powtórnie w Paryżu, a następnie . poszerzone w Polsce w Ossolineum. W 1992 wyszedł w Warszawie zbiór szkiców literackich i historycznych „Próby przywołań”. Posypały się różne inne publikacje i wznowienia.

Po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się po śmierci męża do Portugalii jej aktywność, teraz już Zielińskiej (wyszła powtórnie za mąż), nie osłabła. Nie zamknęła się w ślicznym domku pod Lizboną którego białe ściany obwieszane były starymi mapami Polski oraz kopiami listów królów polskich, wśród wiecznozielonych aromatycznych krzewów i kwiatów, choć sprawiały jej wiele radości. Komentując kiedyś moje fotografie przysłane z Kanady, śnieg i nikłą roślinność dodała:

*[...] u mnie pod samym oknem kwitnie hibiscus, a w ogrodzie szaleją nasturcje i nagietki i jakieś kwiatowe odmiany bardzo urodziwych słoneczników hodowanych dla piękności kwiatów.*

Jej ulubionymi kwiatami były fuksje. W innym liście pisała, że patrząc ze swojego okna

*[...] podziwiam czerwono-fioletowe fuksje, które w tym roku oszalały i uginają się pod ciężarem kwiatów. Nazywają się ładnie po portugalsku: „brincos de princesa” (klejnociki księżniczki – FS). W pobliżu kwitną nagietki – nasze polskie nagietki – portugalska nazwa „maravilhas” trafiła do „Księcia Niezłomnego” – Słowacki ich nie utożsamiał, a brzmienie nazwy mu się najwidoczniej podobało.*

Choć mieszkała w Portugalii, nadal uczestniczyła w jury nagród pisarskich. Tak motywowała wybór jednego z nagrodzonych Nagrodą Kościelskich poety:

*Nagrodę emigracyjną otrzymał Bolesław Kобрzyński, autentysta, autor wierszy wojennych, od lat przebywający w szpitalu. Nagroda umożliwi przypomnienie jego twórczości, wczorajszej - to prawda, ale korzystnie odcinającej się od tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.*

Ten szpital odwiedziłem kiedyś na zaproszenie poety Bronisława Przyłuskiego. Wśród słuchaczy był również Kобрzyński. Zabierał głos bardzo interesująco, potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero objawiły się jego lęki i ukazała przyczyna jego hospitalizacji. Korespondowaliśmy trochę. On mi przysyłał długie, pięknie kaligrafowane wiersze, których pisał dużo. Ja mu dostarczałem papieru i znaczków.

Wieści nadchodzące z samotni pani Marii niekiedy potrafiły zadziwić. Zakomunikowała raz takie spostrzeżenie:

*Czy zauważył Pan, że w r.1989-91 wydarzyło się coś ze wszech miar godnego uwagi, co i Pana bezpośrednio dotyczy. Prawie równocześnie, w odstępach paru miesięcy, mimo trudnych warunków wydawniczych pojawiły się „Wiatr z innej strony” Bogdana Czaykowskiego, „Niespodziewane żywoty” Jana Darowskiego, co najmniej dwa tomiki Bolesława Taborskiego („Szekspir” i „Polityka”), „Jesień” Adama Czerniawskiego - a niewiele wcześniej zebrane wiersze Zmarłych Ławrynowicza i Gniatczyńskiego. Do tego trzeba dodać działalność na pokrewnych polach: Jerzego Sity jako wydawcy i Taborskiego w BBC („Sztuka nad Tamizą”). Obserwując to zjawisko dochodzę do wniosku, że stoimy wobec „powtórnego debiutu” czy renesansu grupy poetów londyńskich. Jest to zjawisko na miarę „wybuchu” twórczości Skamandrytów w 1939/40. Może mi Pan odpowiedzieć, że niektórzy wymienieni pisali i publikowali „ciurkiem” (jak się mawia w sekcji Polskiej BBC) - ale zgodzi się Pan, że najnowszy zbieg okoliczności ma swoją wymowę, zwłaszcza, że z wyjątkiem przedwcześnie zmarłych, nic nie zapowiada, by nie było dalszego ciągu (np. Busza). Dla mnie, kronikarki literatury emigracyjnej, z musu porywającej się na hierarchizowanie, jest to wydarzenie wielkiej wagi, bo w pewnym stopniu oznacza przedłużenie literatury emigracyjnej,*



*bo przecież chcąc nie chcąc jesteście par excellence poetami i pisarzami reprezentującymi tę emigrację i to w stopniu wyższym od wielu lansowanych przez niektóre koła (zwłaszcza w Kraju) wielkości emigracyjnych (Wat!).*

Posyłałem jej niekiedy ciepłe jeszcze tomiki moich wierszy.. Po odebraniu „Ziem utraconych” tak do mnie napisała: „To najlepsze Pana wiersze. Jak Staff i jak Wierzyński pisze Pan im później, tym lepiej. Zna Pan zapewne opinie o profesorach niemieckich: najlepsze prace piszą na emeryturze. Myślę, że odnosi się to - ogólnie biorąc - także do poetów a do Pana w szczególności. Gratuluję i zachęcam do ‘Medytacji’, podsumowania grzechów (nie) wielkiej Emigracji i nie bania się Smutku ludzkiego a Smętka narodowego. Balansuje Pan zręcznie między Tradycją a POSTmodernizmem i uchwalał się Pan przed ‘obowiązkiem’ deklarowania wierności Jungowi, Derridzie i Bachtinowi”.

Zdarzało się, że jakiś pojedynczy wiersz spodobał się na tyle, że powodował niespodziewane, obszerne komentarze.

*Bardzo mnie wzruszyło „Życie pozagrobowe”. Przystaje do mojej sytuacji („Więcej wśród nas umarłych”), gdy tkwię samotnie i „przecież żyję”, a mam przed sobą raptownie się zwięzający margines czasu i blisko terminowe spotkanie ze śmiercią, bez gwarancji, że spotkam się z bliskimi, których widma (fantazmy?) krążą po nocach tak realistycznie, że po przebudzeniu z trudem oddzielam marę od otaczającej mnie rzeczywistości i, mimo wszystko, obcego otoczenia. A przecież nie umiem i nie chcę oddalać się stąd, a że i wiek i stan zdrowia dyktują spokojną egzystencję, więc siedzę (teraz przy otwartych na ogród drzwiach [...]).*

Pani Maria zawsze reagowała na wspomnienie ludzi, których знаła. Kiedy zmarł stryj mojej żony, Juliusz Poniatowski, napisała:

*Pana Juliusza znałam długo i dobrze. Jeszcze z czasów, gdy pisałam o Krzemieńcu i często jeździłam na Wołyń. A i w Warszawie, gdzie widywałam go najczęściej u tzw. „starego Stempowskiego”. To był wspaniały człowiek.*

Kiedy indziej widocznie poskarżyłem się listownie na Iwaniuka, na co nadszedł taki

jej komentarz:

*Niepotrzebnie przejmuję się Pan Iwaniukiem. To bardzo nieprzyjemny facet. Miałam z nim takie przejście. Przysłał do Biblioteki tom swoich wierszy. W podziękowaniu był błąd maszynowy w nazwisku (na kopercie brzmienie było prawidłowe). Przegapiłam, podpisałam. Zareagował ordynarnym listem, a tak się złożyło, że na krótko przed tym w decydujący sposób pomogłam do przyznania mu nagrody Kościelskich, bo moi Koledzy z Jury wierszy jego (poza Jeleńskim) nie czytali. Złośliwiec zakompleksiony.*

Pani Maria raz po raz zachęcała mnie do pisania do rocznika „Antemurale” pragnąc ożywić badania na odcinku ibericów. Okazało się, że nawoływała bez skutku. Sama zaś, znalazłszy się na nowej ziemi zajęła się gorliwie luso-polonikami. Jej mąż Adam Zieliński zebrał dwadzieścia kilka utworów poetów portugalskich dziewiętnastego wieku dotyczących Polski, a wywołanych echami powstania styczniowego. Na próżno usiłowano mnie wciągnąć do współpracy. Usprawiedliwiałem się słabą znajomością portugalskiego i innymi pilnymi obowiązkami. W końcu powstały z tego 34 felietony radiowe p. Marii o luso-polonicach. W „Wiadomościach” natomiast pojawiły się bogato ilustrowane, ciekawe artykuły o Luzjadach. O ile sygnały emigracyjne były niesprzyjające (nie interesował ponoć czytelnika polskiego Camoes), z Polski nadszedł list profesora Stefana Kieniewicza, specjalisty od roku 1868 przyznający, że autor nie wiedział nic o tej fali sympatii dla Polski w Portugalii.



Maria Danilewicz-Zielińska - twórczyni i dyrektorka Biblioteki Polskiej w Londynie, fot. ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Także wydaniu „Mickiewiczian” towarzyszyły opaczne sygnały. Pani Maria w 1991 roku napomknęła, że „Mickiewicziana przeszły bez echa”, ale sądzę, że pozostaną one trwałym świadectwem jej edytorskiego zapachu. Nie była to robota wcale łatwa.:

*[...] opracowanie ich kosztowało mnie ponad rok życia, ale była to praca emocjonująca i chyba celowa. Dwa dalsze lata pochłonęła walka z drukarniami - absurdalna, bo książka ukazała się tylko pozornie nakładem „Arkad”, a w rzeczywistości sfinansował jej wydanie dr Tomasz Niewodniczański, właściciel opublikowanych obecnie autografów i jeszcze cenniejszego „Albumu Moszyńskiego”, który wejdzie do tomu drugiego, a zawiera robocze wersje wierszy z okresu rosyjskiego, w tym sonetów krymskich. Demonstruje tam Mickiewicz swój*

*warsztat poetycki, wielokrotne nanoszenie poprawek (nie zawsze ulepszeń) itp.*

Lata płynęły. Starszy mąż wymagał troskliwej opieki. Lekarz rozkładał bezradnie ręce słuchając opowieści o symptomach choroby i mawiał *idade*, wiek! Pani Maria poczuła, że i ją wysiłek zaczął męczyć, a tyle jeszcze chciała zrobić.

Szczęśliwym pomysłem okazał się mój wypad z Sewilli do Portugalii w roku 1988, kiedy prowadziłem w tym mieście kurs języka hiszpańskiego dla grupy kanadyjskich studentów. Poprzednio odwiedziłem podlizbońską samotnię z żoną i czworgiem dzieci w roku 1975 w sam gorący czas przewrotu w Portugalii, kiedy zbuntowane wojsko i czerwone watahy przewalały się złowieszczą ulicami smarując cudowną biel domów i kościołów czerwonymi gwiazdami, sierpem i młotem. Wydawało się, że padnie demokracja. Tym razem jechałem sam autobusem przez rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury. Przy tej okazji nagrałem z panią Marią rozmowę, a raczej wywiad na temat literatury emigracyjnej. Wydrukował go Giedroyć w „Kulturze” i zapoczątkował całą falę publikacji na ten nagle modny temat. Pani Maria zanotowała całą sprawę wielkodusznie:

*[...] wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy.*

Lecz nieubłagany czas zabrał męża. O swoim domu o nazwie *Romazeiras* pisała : „[...] to obecnie jednoosobowy damski klasztor trapistów”. Nie dawała jednak za wygraną. Podjęła inny temat:

*Usiłuję pisać wspomnienia. Kujawskie dzieciństwo i młodość jakoś dały się opisać, utknęłam na obrazie Dwudziestolecia, bo im dalej w lata, tym bardziej rozgałęziają się moje sprawy i „geograficznie” powiększa świat. Wcześniej napisane fragmenty o Londynie czekają na właściwe miejsca, a całość się nie klei i chyba nie sklei. Giedroyć uważa, że moje życie było (i jest) ciekawe, co wydaje mi się błędną oceną, bo – co zarzucili mi Bednarczykowie – nie mam za sobą doświadczeń zsyłkowych i więziennych. Myślę jednak, że niektóre moje przeżycia i doświadczenia wymykają się szablonom, a samotność sprzyja rewizji ocen o dawnych doświadczeniach życiowych.*



Odpowiadając późno, jak sądziła, na mój list napisała:

*Tłumaczy mnie, poza karygodnym lenistwem, mój podeszły (?) wiek - przed tygodniem skończyłam 88 lat i sama się dziwię, że jeszcze żyję, czytam, piszę, a nawet występuję w telewizji.*

Powróciła też do poprzedniego tematu, do sprawy wspomnień.

*Piszę wspomnienia, ale w tej wczesnej brulionowej formie jest to raczej sprawozdanie czy „curriculum vitae” niż obraz subiektywny przeżyć w różnych epokach życia: krajowej (do 1939), francusko-angielskiej i portugalskiej (już 22 lata).*

Doczekawszy dziewięćdziesięciu lat przyjmowała los filozoficznie:

*Czuję się, „as well as it can be expected” to znaczy łamią mnie kości na zmianę ,źle sypiam, to znow gnębi mnie senność - co usprawiedliwia lenistwo, a margines życia przede mną stale się zwięża.*

Nie narzeka na własną sytuację, pociesza innych, którzy szukają u niej pociechy. Po wizycie znajomej, która nie mogła przeboleć utraty matki, do której była bardzo przywiązana, Danilewicz-Zielińska notuje:

*Musiałam, chcąc nie chcąc, udawać psychoanalityka i zabijając własne wspomnienie tłumaczyć śmierć jako wolę Bożą, nie omijając nikogo. W moim wieku wymaga to samodyscypliny i unikania analogii.*

Szczerliwym zrządzeniem potrafi jeszcze czytać, co robi z przyjemnością oraz „narkotyzuje się” TV Polonią. Zachwyciła się np. oglądając wystawienie „Zemsty”. W sierpniu 1999 odebrała mój list z kolejnym sprawozdaniem z mojego pobytu w Polsce.

*Zazdroszczę Panu możliwości częstych wyjazdów, a w szczególności Wilna. Ja nie mogę odwiedzić nawet Włocławka, do którego ciągnie serce, ledwo łązę po domu i*

*serce nawala (zemdlenia), nie nadają się do podróży samolotami - a tak stąd daleko.*

Kartkę napisała regularnym, pięknym pismem ręcznym, którego niewielu ludzi w życiu się potrafi dopracować.

Święta Bożego Narodzenia 2000 roku spędziła u przyjaciół w eleganckim podlizbońskim kurorcie Estoril. Mogła stamtąd podziwiać zmienne, malownicze krajobrazy oceaniczne. Pojechała ze swoją najnowszą książką „Fado o moim życiu”, której egzemplarz miałem w styczniu odebrać. Było to Boże Narodzenie po wodzie. W liście z 12.01.2001 r. już po powrocie do Feijo wspominała ciężki okres pracy bibliotekarskiej w Londynie, który nie pozostawiał czasu na pisanie i że dopiero po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się do Portugalii mogła napisać „Szkice o literaturze emigracyjnej” i eseje, które złożyły się na książkę „Fado o moim życiu”.

Nie przeczuwała, że nowy rok zacznie się fatalnym załamaniem się zdrowia i że tragiczny pożar zniszczy część dokumentów jej owocnego życia. Pani Maria, Bogu dzięki, wraca szybko do zdrowia, ale nie może nie być wstrząśnięta niepowetowaną utratą książek i listów. Chciałem wierzyć, że „pustelniczka”, dotknięta tak wieloma próbami i z tej wyjdzie obronną ręką.

Maria Danilewicz-Zielińska zmarła 22 maja 2003 roku w Quinta das Romazeiras w Portugalii (przy. red.).

## **O Marii Danilewicz-Zielińskiej:**

*Portugalskie rekonesanse*

<https://www.youtube.com/watch?v=-VUs1dYfU2g>

---

# Balkon na Atlantyck



Klasztor La Rabida, fot. Wikimedia Commons.

## **Florian Śmieja**

Opodal granicy z Portugalią niedaleko andaluzyjskiego miasta portowego Huelva wznosi się klasztor La Rabida. To w jego murach śmiały zamysł Krzysztofa Kolumba znalazł posłuch, a potem wsparcie.

W miejscach tak strategicznie położonych zakładali swoje emporia handlowe Fenicjanie, Kartagińczycy i Rzymianie. Po nich strażnikami tych wód stali się Arabowie i to oni zbudowali zręby klasztoru. Kiedy wyparli ich chrześcijanie na nich postawili kościół w stylu gotycko-mauretańskim. Ucierpiał on w czasie wojny domowej 1936-39 ale został odbudowany.

Ten franciszkański ośrodek studiów i hospicjum pieczołowicie opiekuje się

pamiątkami po Kolumbie. Piękne freski pędzla Vazqueza Diaza z roku 1930 opiewają epopeję odkrycia Nowego Świata przez kronikarza Lópeza de Gómara nazwana największym wydarzeniem obok stworzenia świata i narodzenia Chrystusa.

W roku 1485 do bramy tego klasztoru zapukał Krzysztof Kolumb z synem. Przyszedł, aby odetchnąć w murach samotnego klasztoru niepoprawny marzyciel po wielu nieudanych próbach, by zapalić ludzi do wyjścia poza partykularz i do szukania rozleglejszych horyzontów.

W klasztorze przebywał mnich o. Antonio Marchena pielęgnujący tradycję Rogera Bacona i Raimunda Llula, którzy zakładali istnienie kontynentu na zachodzie. To on wyrobił Kolumbowi wstęp do domów wielmożów w Sewilli.

Przez siedem lat Kolumb bezskutecznie prosił i perswadował. W końcu postanowił ruszyć do Francji, by tam próbować szczęścia. Zatrzymali go zakonnicy. Jeden z nich, spowiednik królowej Izabeli, pojechał do obozu pod Granadą, bo wojska hiszpańskie oblegały w tym czasie ostatnie królestwo Maurów, i uzyskał zgodę na realizowanie fantastycznego przedsięwzięcia.

Nie obyło się bez trudności i technicznych problemów: lokalni marynarze nie ufali obcemu. Obawy ich rozproszył zakonnik pozyskując dla sprawy znanego miejscowego żeglarza Martina Alonsa Pinzona. Wtedy zgłosili się ochotnicy i w rezultacie 3 sierpnia 1492 roku z portu w Palos wypłynęły trzy stateczki kierując się na zachód w nieznaną.

Wojaż nie przebiegał gładko. Mieli awarię na Wyspach Kanaryjskich i przez długi czas nie natrafiali na żaden ląd. Mieli już zawrócić, ale zimna krew Pinzona sprawiła, że płynęli dalej w kierunku zachodnim. Resztę znamy: 12 października zobaczyli Bahamy. Kolumb powrócił do Europy w triumfie, by jeszcze trzy razy wyprawiać się na odkryte ziemie.

Modele jego śmiesznie kruchych stateczków oglądać można na piętrze krużganku klasztoru. Sądzę, że wrażenie było by silniejsze, gdyby zbudować repliki statków naturalnej wielkości i zakotwiczyć w miejscu, z którego wypłynęły. Zestawienie ogromu Atlantyku z tymi łupinkami 13, 14 i 25 metrowymi nabrałoby wtedy właściwej wymowy.





Krzysztof Kolumb, fot. Leemage/EAST NEWS.

Kolumb zmarł w Valladolid w 1506 roku. Ciało jego przewiezione zostało do Sewilli, a następnie na wyspę Santo Domingo. Potem zaginęło w tajemniczych okolicznościach. W grobowcu w katedrze sewillijskiej mają spoczywać tylko prochy syna. Na próżno też szukałem śladów w katedrze w Santo Domingo.

Ten genialny odkrywca nie przestanie fascynować jako nieprzeciętna jednostka narzucająca swoją wizję zasiedzialemu porządkowi rzeczy. W jego życiorysie pozostało wiele jeszcze spornych elementów. Nie łatwo sobie na przykład wytłumaczyć, dlaczego miał umierać w nędzy człowiek, który na mocy przywileju królewskiego pobierał dziesięć procent od ceny towarów eksportowanych z Hiszpanii do Nowego Świata, a piętnaście procent od przywożonych stamtąd pereł, złota, srebra i korzeni. Do tego miał uposażenie z tytułu piastowanych godności admirała, wicekróla i gubernatora. Ciekawe są też poszlaki, wedle których nie płynął on w nieznanie, ale że jechał na wyspy, o których istnieniu miał mu opowiedzieć Alonso Sanchez, spędzony z kursu na Maderę przez sztormy.

W Palos stoi kościół, w którym proklamowano wolę królewską, by osada zbudowała statki i wyposażyła ekspedycję. W pobliskim Moguer (miejscu urodzenia Juana Ramona Jimeneza, noblisty, autora opowieści „Srebroń i ja”) w konwencie św Klary tablica upamiętnia dziękczynne modły Kolumba po powrocie z pierwszej wyprawy.

Kiedy patrzyłem na Atlantyk z balkonu klasztoru La Rabida, na którym przesiadywał Kolumb, zrozumiałem jak nieważne były zarówno pamiątki po człowieku, jak też przypominanie jego słabostek czy roszczenia praw do jego prochów. Kolumb to niespożyty duch ludzki, który pokazał średniowieczu nową drogę kojarząc zmysł praktyczny z wizjonerstwem, oraz potwierdził obserwację, że nieraz poezja jest bliższa prawdy niż historia.